

Przeznaczenie

Ela Schmitz

Ela Schmitz

PRZEZNACZENIE

Wachtberg, 2013

[Kup książkę](#)

Przeznaczenie

Wykonanie okładki i strony tytułowej
Miłosław Frey

Redakcja i korekta
Alicja Kostrzewa

Copyright by Elżbieta Schmitz 2013

Zdjęcia autorki
Zdjęcie na okładce: Chatsworth Hall

Kontakt do autora:
ela.rtv@web.de

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Rozpowszechnianie i publikowanie całości lub fragmentów
zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN 978-83-272-3981-5

[Kup książkę](#)

Dla mojej Mamy, która lubi czytać romanse

oraz

**dla Franza Josefa Schmitza (zbieżność nazwisk
przypadkowa), który w tym samym czasie
zaczął pisać swoją książkę i lubiliśmy
wymieniać się uwagami lecz niestety nagła
śmierć nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętej
pracy...**

Rozdział 1

Londyn, maj 2011

- Dzień dobry kochanie – Matt cmoknął ją na powitanie w czoło.
- Dzień dobry – odpowiedziała zdawkowo nie otwierając oczu.
- Śpiochu, już trzeba wstawać do pracy – ponaglił.
- Uhm... - mruknęła coś pod nosem. Wcale nie miała ochoty podnosić się z ciepłego łóżka. Tym razem nic jej się nie śniło, czuła się wypoczęta, ale i tak nie chciało jej się wstać. Wspomniała wczorajszy wieczór. Matt był kochany, przyrządził dobrą kolację z winem, bo ona jak zwykle musiała dłużej zostać w firmie. Jak przyjemnie było przyjechać do domu, gdzie już czekał smaczny posiłek. Naprawdę nie musiała się o nic martwić. Siadając w fotelu patrzyła jak Matt kręci się po kuchni i pomyślała, że dobrze zrobiła wybierając go na męża. Był dobry, zrównoważony, w łóżku też nie ciamajda. W domu potrafił zrobić to i owo. Oboje mieli niezłą pracę, w zasadzie powinna czuć się szczęśliwa. Co prawda minęły już 3 lata od ich ślubu i nie mieli jeszcze dziecka, ale był to świadomy wybór, gdyż najpierw należało się trochę zabawić i użyć życia, jak twierdził Matt.
- O czym tak myślisz? Chodź do stołu, bo wystygnie i całe staranie pójdzie na marne!
- Tylko umyję ręce – pobiegła do łazienki i w mig była gotowa.
- Czy wiesz jaki dziś dzień? - Matt zrobił tajemniczą minę. Szybko przeleciała w pamięci ostatnie wydarzenia, uzmysłowiła sobie datę, ale jakoś miała kompletną pustkę w głowie.
- Sorry, jakoś nie kojarzę... Pomyślała, że rzeczywiście musi być jakaś okazja, bo Matt nie zrobiłby ot tak zwyczajnie kolacji z winem. Pewnie zaraz wszystko się wyjaśni.
- Wyjeżdżamy!!!
- Nie bardzo rozumiem.
- A co tu jest do rozumienia? Pakujemy manatki i zmieniamy klimat!
- Czy coś przeoczyłam? Przecież byliśmy już na urlopie, co ty bredzisz?
- Nie jedziemy na urlop, ale przenosimy się na rok do Francji!
- Co ty mówisz, jak to?
- Pamiętasz co mówiłem o wykopaliskach? Matt podekscytowany wymachiwał sztuczcami.- Prof. Jurdin zaprosił mnie na rok, abym z nim współpracował przy grobach Merowingów. Czyż to nie wspaniałe? - oczy Matta lśniły zachwytem.
- No co na to powiesz?
- A moja praca? - fajnie byłoby wyjechać, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że

- nagle opuści swoje środowisko, przyjaciółki, rodziców, brata.
- Co ty wygadujesz? Nie cieszysz się? Matt wydawał się być w szoku.
 - To jeszcze do mnie nie dociera. Kiedy mielibyśmy wyjechać?
 - Mamy miesiąc na załatwienie wszystkich formalności. Ja zostanę oddelegowany na rok z Uniwerku, a ty pogadaj z szefem odnośnie rocznego bezpłatnego urlopu.
 - Ty chyba naprawdę zwariowałaś! Nie znasz mojego szefa, wywali mnie z pracy na 100%. Roczny urlop, też coś! - prychnęła pogardliwie.
 - Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz – Matt zawsze był optymistą. Podniósł kieliszek, żeby wznieść toast.
 - Za naszą przygodę we Francji!
Emi popatrzyła w zamyśleniu na kieliszek, w którym połyskiwało ciemnoczerwone wino.
 - Za Francję... stuknęła kieliszkiem, a potem upiła spory łyk.
Kolacja upłynęła w wesołym nastroju. Matt paplał jak najęty, roztaczał przed nią wizję nowego życia, a Emi dała się w końcu ponieść jego entuzjazmowi. Po kolacji razem uprzątnęli naczynia, włączyli zmywarkę i zadowoleni usiedli przed telewizorem. Matt przełączał kanały, a jej było wszystko jedno. Potem był wspólny prysznic i miły sex na dobranoc.
 - No wstawaj już, bo się spóźnisz!
Wspomnienia uleciały, gdy spojrzała na zegarek. Cholera!- pomyślała - Matt ma rację.
 - Możesz mnie podwieźć? - Emi uśmiechnęła się słodko.
 - No to pośpiesz się!

W biurze Suzie złapała ją za rękaw.

- No jak tam papużki nierozłączki?- zrobiła minę detektywa – Udała się kolacja?
 - Wiedziałaś? - Emi była wyraźnie zaskoczona.
 - Twój ślubny radził się mnie w sprawie menu i przy okazji zdradził sekret. To super!
Chociaż będzie mi cię brakowało – stwierdziła z żalem. Te głupie krowy są zarozumiałe i z nimi sobie nie pogadam - zrobiła ruch głową w kierunku pokoju na przeciwko.
- Suzie była jej podporą w firmie, prawdziwą przyjaciółką. Znały się od wielu lat i to ona ściągnęła Emi do tej firmy. Potem trochę żałowała, bo gdy przyszedł nowy szef wszystko się zmieniło. Szablonowy typek, mający wygórowane mniemanie o sobie od razu wszystkim dał się we znaki. Miał swoich ulubieńców, ale Emi i Suzie do nich nie należały, bo nie były lizusami. Większość ze strachu się podporządkowała, ale fajny klimat firmy ulotnił się bezpowrotnie.
- Położyłam ci na biurku faktury – przypomniała Suzie.
 - Dzięki, zaraz się nimi zajmę. Potem pójde pogadać ze starym. Zobaczymy co z tego wyjdzie. A kolacja była wspaniała no i deser też niczego sobie – mrugnęła porozumiewawczo. Obie dziewczyny zaśmiały się.

Rozmowa z szefem nie dała jednoznacznej odpowiedzi. Leon-Basior, jak go nazywała w myślach, przewiercał ją spojrzeniem na wylot. Patrzyła z niesmakiem na jego przetłuszczone włosy ulizane starannie na czubku głowy i gruby brzuch, który usiłował schować pod zapiętą marynarką. Dolatywał ją zapach potu i kiepskiej wody kolońskiej.

- Czy Pani sobie zdaje sprawę, że trudno będzie Pani potem się wdrożyć w rytm pracy? Po roku wszystko może się zmienić. Naprawdę nie wiem, czy taki urlop ma sens...- chętnie pozbyłby się jej, ale zdawał sobie sprawę, że była naprawdę dobrym i sumiennym pracownikiem, a o takich dziś nie łatwo. – Jutro dam Pani odpowiedź.
- Dziękuję Panie dyrektorze – uśmiechnęła się mimo woli wychodząc. Suzie już na nią czatowała.
- I co? I co?
- Jutro się okaże. Albo dostanę urlop, albo po powrocie muszę szukać nowej pracy.
- E tam,- Suzie machnęła ręką,- tak czy siak najważniejsze jest, że czeka was nowe wyzwanie i na pewno coś zmieni się w waszym życiu. U mnie ciągle tak samo nudno i nie ma perspektyw na zmiany – Suzie rozstała się ze swym chłopakiem 4 miesiące temu i jakoś na razie nie znalazła następnego. To trochę ją frustrowało, ale była pogodnego usposobienia, więc nigdy nie zamartwiała się długo ani nie użalała nad sobą.
- Mam tyle spraw do załatwienia, sama nie wiem od czego najpierw zacząć – Emi złapała się za głowę – i na rok trzeba trochę rzeczy spakować. O Boże! - westchnęła – jak ja sobie z tym wszystkim poradzę?
- A od czego ma się przyjaciółki? - Suzie uśmiechnęła się, a Emi spontanicznie objęła ją i cmoknęła w policzek.

Matt krzątał się przy mikrobusie cały w uśmiechach.

- Jak to dobrze, że udało się nam wynająć ten wózek! Do normalnego auta zmieścilibyśmy zaledwie 1/3 bagaży!
- Czy musimy brać aż tyle rzeczy? Emi patrzyła krytycznie, jak Matt dopychał kolejne.
- Zobaczysz kochanie, że wszystko się nam przyda.
- No, sama nie wiem – Emi patrzyła z powątpiewaniem – Czy wiesz już, gdzie będziemy kwaterować?
- Nie powiem ci, bo to niespodzianka!

Pogoda była taka sobie, na szczęście nie padało. Jechali już od dobrych kilku godzin. Z Londynu do Dover a potem promem do Calais. Z Calais skierowali się do Paryża, gdzie Emi koniecznie chciała spędzić trochę czasu, ale Matt stanowczo się temu sprzeciwił, twierdząc, że jeszcze czeka ich długa droga do celu. Emi była

szczerze zawiedziona, ale Matt obiecał, że jeszcze będzie niejedna okazja, żeby sobie zrobić wycieczkę do stolicy. Chcąc nie chcąc musiała się zgodzić i teraz siedziała z nosem w szybie próbując cokolwiek zobaczyć. Ale z autostrady było niewiele widać, więc w końcu monotonność jazdy zaczęła ją usypiać. Matt na początku dużo mówił o nowych perspektywach, w ogóle był w swoim żywiole, ale Emi słuchała wszystkiego połowicznie, nie dzielając w pełni jego entuzjazmu. Myślała o swojej rodzinie i przyjaciółach, których zostawiała w Londynie, o swojej pracy i jeszcze o wielu innych rzeczach, za którymi na pewno przyjdzie jej tęsknić. Nie знаła francuskiego, więc na razie nie miała szans na jakąkolwiek pracę i już widziała się w roli kury domowej, co nie bardzo jej odpowiadało. Była jednak przykładną żoną i nie chciała, aby Matt marnował taką szansę, toteż zaakceptowała, choć z pewnym żalem radykalną zmianę w swoim życiu.

- Prześpij się Mini (nie znosiła tego przezwiska, owszem nie była za wysoka, ale nie musiał tego jej przypominać) – Obudzę Cię, jak znajdę jakąś knajpę, gdzie zjemy obiad.

Vernon, wiosna 1789

Philippe śmiejąc się pociągnął ją za warkocz.

- Jaśnie pani raczy wybaczyć, jestem taki niezdarny – mówiąc to stroił grymasy, więc też wybuchnęła śmiechem.
- Rzeczywiście chevalier, pańskie maniery pozostawiają wiele do życzenia! - odpowiedziała mu tym samym tonem.
- Mademoiselle, wszystkiemu winne są pani boskie oczy, ile razy w nie spojrzę nachodzą mnie różne myśli – zrobił tajemniczą minę.
- Ależ monsieur, te oczy widuje już pan od 16 lat i nigdy nie przyprawiły pana o konfuzję – prychnęła.
- Ależ ja wcale nie czuję się skonfundowany moja pani, ale ilekroć cię widzę od razu mam ochotę wyrzucić ci małą psotę – przyznał szczerze.

Jaki on jeszcze jest dziecinny – pomyślała. Znali się z Philippem od dziecka, bowiem obie rodziny obracały się w tych samych kręgach. Istnieli nawet jacyś wspólni przodkowie, ale jakoś nikt o tym nie wspominał. Rodziny ich żyły ze sobą w przyjaźni (poza nielicznymi wyjątkami) nawzajem regularnie się odwiedzając. Małżonkom de Saintenne zawsze towarzyszyły dzieci: niesforny Guillaume, rozrabiaka Jean-Jacques, wesołek Philippe oraz dziewczynki: słodka i cicha Madeleine oraz nieznosna Juliette. Gdy ta cała czereda wraz ze służbą zjawiała się z wizytą w majątku de Monvirage, miało się wrażenie, że właśnie następuje huragan i zaraz będzie widać jego skutki. Dzieciaki dotąd posłuszne zaraz rozbiegały się na wszystkie strony, a zrozpaczeni opiekunowie – niania, guwernantka i lokaj Francois usiłowali za nimi nadążyć. Rodzice tej gromadki – pogodna Madame Hortance i jowialny małżonek Simon nie zwracali kompletnie na to uwagi, ciesząc się w duchu,

że nareszcie mają nieco spokoju i ciszy. Gospodarze zaś reagowali podobnie. Piękna pani domu Madame Jeanne de Monvirage miała pogodne usposobienie. Nie skrzywdziłaby nawet muchy. Zawsze była uśmiechnięta, a przy tym nic nie straciła ze swej wspaniałej urody, nic więc dziwnego, że vicomte Antoine de Monvirage ujrzawszy ją raz na balu zakochał się w niej bez pamięci. Rodzice jego byli temu ożenkowski z początku przeciwni, gdyż panna stała niżej w hierarchii społecznej, choć także była szlachcianką, ale Antoine w desperacji zagroził, że przebiję się szpadą, więc w końcu się zgodzili. Jeanne miała całkiem pokaźny posag, który udobruchał przyszłych teściów i wreszcie uszczęśliwiony Antoine dostał swą wybrankę. Stadło okazało się bardzo szczęśliwe i wkrótce zaowocowało licznym potomstwem: najstarszy był Gerard, po nim była piękna Lynette, buntowniczy Marcel, Jean-Michel, Emilie, Marie Agnes i najmłodszy Hugo. Mijały lata, dzieci rosły i wszystko układało się jak najlepiej.

Senior rodu pękał z dumy patrząc na swoją rodzinę. Wszystkie dzieci były zdrowe i piękne. Majątek trzymał się całkiem dobrze, bo Antoine miał nosa do ludzi. Od lat miał tego samego rządcę Peronna, który kochał majątek Monvirage jak swój własny i dbał o niego nie okradając przy tym właściciela. Peronne też znał się na ludziach i zatrudnił odpowiednich do pracy w majątku, wszystkiego sumiennie doglądając. Hrabia mógł czuć się szczęśliwy, nawet domowa służba była mu wierna i oddana, był bowiem wyrozumiałym panem i tolerował słabostki bliźnich. Ci z wdzięczności odpłacali mu się wiernością i przywiązaniem, tym bardziej, że znali sytuację w innych domach, gdzie służba trzymana była żelazną ręką. Tak więc Monvirage kwitło i nic nie wskazywało na to, by cokolwiek w przyszłości mogło zakłócić ten porządek rzeczy. Owszem dochodziły do nich czasami plotki z wielkiego świata, czyli Paryża, ostatnio dość niepokojące, ale nikt się tym nie przejmował. Paryż był przecież daleko, a tam zepsuty dwór i całe zło tego świata. Tak przynajmniej twierdziła Jeanne, a Antoine jej wtórował.

- Witamy pana barona z rodziną – hrabia de Monvirage podniósł się leniwie z fotela po zaanonsowaniu przez lokaja Gustawa przybyłych gości.
- Co tam nowego w wielkim świecie?
- Och, panie hrabio, tyle się dzieje, że nie wiem od czego najpierw zacząć relację – Simon de Saintenne sięgnął za obszerny zarękawek wydobywając koronkową chusteczkę i przyłożył ją do czoła. – Drogi przyjacielu, w Paryżu lud się buntuje!
- Ależ baronie, lud często się buntował, a później wszystko wracało do porządku. Na pewno i tym razem nie będzie inaczej. Król ma swoje wojsko, które zrobi porządek na ulicach!
- Powątpiewam hrabio. Paryż wrze i lada chwila wybuchnie. Afera z naszyjnikami dołała oliwy do ognia!
- O jakiej aferze waść mówisz? My tu na prowincji nic nie wiemy o żadnej aferze.
- Tak, rzeczywiście, tu jeszcze nie dotarła ta informacja. Wczoraj wróciłem z Paryża, a tam znowu o niczym innym się nie mówi, choć to bardzo dawna, bo już kilkuletnia sprawa. Otóż podobno nasza królowa Marie Antoinette kupiła

przez kardynała de Rohan brylantowy naszyjnik za niebagatelną sumę 1,4 mln liwrow! Podobno pośredniczyła w tym wszystkim hrabina de la Motte, a to znana intrygantka. Królowa oskarżyła kardynała, on hrabinę, a lud pisze pamflety i wygraża dworowi. Gospodarka jest zrujnowana, zaś dwór żyje wystawnie podczas, gdy masy głodują. Głód rodzi gniew i wyzwala najgorsze instynkty. Jak lud powstanie, może być niebezpiecznie.

- Na szczęście Paryż jest tak daleko, że nas to na pewno nie dosięgnie – Jeanne wtrąciła się do rozmowy mężczyzn. - Dobrze, że nasi służący są zadowoleni, a chłopci folwarczni też nie narzekają – Jeanne, choć hrabina, miała wszystko na oku i razem z mężem dozorowała porządku.
- Jestem pewny, że masz rację moja duszko – zgodził się Antoine.
- Oby tak było – baron nie wyglądał na przekonanego. - Niestety słyszałem, że w innych prowincjach pospólstwo też się burzy. Ogólnie w kraju panuje głód i lud patrzy na nas wilkiem. Obwiniają nas o wszelkie zło i są bardzo zdeterminowani. Obawiam się, czy jesteśmy bezpieczni w swoich majątkach.
- Co pan też mówi, baronie? - Jeanne była oburzona.- Proszę nas nie straszyć! Jeśli nie jesteśmy tu bezpieczni, to gdzie? Hortance przyjaciółko, czy pani też przychyliła się do zdania męża?
- Nie byłam w Paryżu, więc trudno mi mówić, ale wiem, że Simon zawsze obiektywnie ocenia sytuację. Nie obawiałby się bez powodu.
- Na rue de Garonne na własne oczy widziałem, jak pospólstwo rzucało kamieniami w karetę kawalera de Chardonney pomstując na arystokrację i bogaczy w ogóle. Panowie szlachta boją się wychodzić na ulicę, przemykają ukradkiem w powozach, a straże nie dają rady utrzymać porządku. Ja wyjechałem z Paryża nocą i bogu dzięki, dotarłem do domu szczęśliwie.
- Panowie proszę zmieńmy temat. Nie należy martwić się na zapas – Jeanne z natury była optymistką, podobnie jak Antoine. - Chodźmy do stołowego, bo już chyba obiad na stole.
Jakby w odpowiedzi w drzwiach ukazał się Gustaw w nienagannej liberii.
- Madames et Monsieurs, podano do stołu – zameldował uroczyście.
Drzwi do jadalni, potężne, dwuskrzydłowe, otwały się szeroko i zebrany ukazał się pięknie przystrojony stół, a na nim wykwintna porcelana i delikatne szkło. Dorośli usiedli razem ze starszymi dziećmi, natomiast młodsze pociechy usadowiono przy osobnym stole.
- Choć gospodarka kraju jest w opłakanym stanie, nam niczego nie brakuje – hrabia z przyjemnością popatrzył na smakołyki piętrzące się na stole. Pieczony kapłon, gęś z jabłkami i żurawiną oraz lin w szarym sosie nęciły zapachem. Lokaje najpierw podali pożywny, gorący bulion. Choć zbiory zeszłego lata nie były najlepsze, jeszcze było wystarczająco mąki, by codzień na stole był pachnący świeży chleb. Na deser były jagody i legumina oraz kompot. Rodzina de Monvirage miała dobrego kucharza Briocha, który nawet z niewielu produktów potrafił wyczarować kulinarne cuda. Nawet król w obecnych czasach nie jadał lepiej.
- Biedny król – odezwała się Hortance, jakby zgadując myśli męża. - Jest

pocziwcy, ale jego dworzanie to sępy! A nasza królowa kompletnie go nie rozumie.

- Kochanie, polityka nie jest tematem dla dam – Simon delikatnie zwrócił żonie uwagę – a poza tym obiecaliśmy pani hrabinie, że nie będziemy już rozmawiać na przykre tematy.
- Powiedz Gerard, co słyszać w armii? - zwrócił się do syna gospodarzy. Czy pułkownik de Gervais jest dobrym przełożonym?
- O tak, to wspaniały dowódca! - Gerard niedawno dostał patent porucznika i był niesłyszanie z tego dumny. - Niedługo przydzielią naszemu regimentowi poważne zadanie. Na razie nas tylko musztrują – jakaś nutka żalu przebiła w jego głosie, jakby żałował, że nie może się bardziej wykazać. Gerard był ambitny i czuł na sobie odpowiedzialność jako najstarszy syn i spadkobierca tytułu. Jak na swoje 22 lata był dość poważny i choć przyjaźnił się z 21-letnim Guillaumem de Saintenne bardzo się od niego różnił. Guillaume był typowym młodym arystokratą, używał życia, lubił hazard i pieniądze. Uwodził z nudów wiejskie dziewczęta i zdążył już spłodzić 2 bękarty kompletnie się tym nie przejmując. Rodzice załagodzili sprawę wysyłając kobiety do innych majątków i dając grosz na utrzymanie dziatek, bo bądź co bądź nie chcieli, by „szlachetna krew szła na poniewierkę”. Dziedzicowi nazwiska porządnie zmyli głowę, więc teraz bardziej uważał. Gerard też robił przyjacielowi wyrzuty, że żyje jak lekkoduch, ale Guillaume tłumaczył się nudą. Zazdrościł przyjacielowi jego kariery w regimencie i sam marzył o tym samym, ale jego rodzice nie chcieli o tym słyszeć. Chciał coś robić, rozpierała go energia, a musiał tu tkwić i doglądać spraw majątkowych ojca.

Simon de Saintenne nie miał tyle szczęścia co jego sąsiad i przyjaciel de Monvirage. Na ludziach się nie znał, był dobroduszny i wierzył w każdą bajeczkę. Miał już czwartego zarządcę a i tak w księgach rachunkowych nadal panował bałagan, chłopcy byli leniwi, bo brakowało twardej ręki, która by trzymała ich w karbach. Majątek Saintenne był co prawda duży i poprzedni baron nawet go powiększył, ale Simon nie posiadał talentu swego ojca i z każdym rokiem poprzez złe zarządzanie zasoby topniały. Nie mając głowy do interesów Simon przekazał wszystko w ręce najstarszego syna, który mając 21 lat miał inne zainteresowania niż doglądanie dobytku. Jednak będąc inteligentnym młodzieńcem czuł instynktownie, że musi coś zrobić, bo inaczej prędzej czy później skończy się to katastrofą. Objechał konno cały majątek, zaglądał w każdy zakątek pragnąc wyrobić sobie zdanie na każdy temat. Średni brat Philippe, choć dopiero 17-letni wszędzie mu towarzyszył. Skończyło się na tym, że to Philippe wydawał polecenia rządcy, objeżdżał folwarki kontrolując prace dzierżawców, pilnował zbiorów i wpisów do ksiąg rachunkowych. Guillaume przyjął pomoc brata z radością i wkrótce wszystko zrzucił na jego barki, sam na powrót wracając do bez troskiego życia. Choć ojciec próbował przemówić mu do rozsądku, Guillaume zawsze kwitował to śmiechem i mówił – tak ojciec, masz rację – a robił dalej swoje. Philippe nie przejmował się lekkomyślnością brata, bo zajmowanie się majątkiem sprawiało mu widoczną przyjemność. Lubiał też odwiedzać z rodziną sąsiadów,

bo od małego ich dzieci stanowiły towarzystwo dla jego rodzeństwa. Szczególnie dobrze rozumiał się z bliźniakami de Monvirage: Marcelem i Jean Michele, bo byli niemal rówieśnikami.

I była oczywiście jeszcze Emilie.

Vernon, czerwiec 2011

- Emi, Emi! - Matt potrząsnął ramieniem żony. - Obudź się!
- Philippe?
- Jaki Philippe? - Matt ze zdziwieniem spojrzał na żonę. - Jaki Philippe? - powtórzył.
Emi powoli otworzyła oczy. Zdezorientowana spojrzała na męża. Było już późne popołudnie, ale słońce jeszcze mocno grzało.
- Wypogodziło się – stwierdziła mrużąc oczy. Słońce ją raziło, więc zaczęła szukać okularów.
- Chyba miałaś erotyczny sen – Matt zaśmiał się – z jakimś Philippem w roli głównej.
- Taak? Nie pamiętam co mi się śniło – skłamała – obudziłeś mnie tak gwałtownie, że natychmiast sen się ulotnił.
- Nieważne, chodź tu jest jakaś knajpka, więc trzeba się posilić. Padam z głodu! - Matt nie znośił być głodny – zjadłbym konia z kopytami!
- Myślę, że wystarczy jakiś kotlet z sałatką lub coś w tym stylu. Konia zostaw lepiej w stajni – uśmiechnęła się. Poczula, jak burczy jej w brzuchu. - Daleko jeszcze mamy do celu?
- Nie, przypuszczam, że najpóźniej będziemy za 2 godz. na miejscu. Prof. Jurdin załatwił nam fajną kwaterę, zobaczysz.
Weszli do małego, przytulnego pomieszczenia. Małe stoliki podkreślały ciepły klimat wnętrza. Miła, młoda kobieta podeszła do nich i skinęła zapraszająco. Matt wziął od niej kartę i zamówił obiad i po kieliszku wina. Karta była tylko po francusku, więc Emi i tak nie wiedziałaaby co zamawia. Matt radził sobie nieźle z francuskim, poza tym był szarmancki, a to ujmowało kobiety. W życiu zawsze sobie dobrze radził.
- Zamówiłem jakąś pieczeń w sosie z jarzynami. Zobaczymy co to takiego.
- Super, mam nadzieję, że szybko dostaniemy coś na ząb, bo też bardzo chce mi się jeść.
Emi rozglądała się po wnętrzu. Oprócz nich nikogo nie było. Cicho i nudno.
- Opowiedz coś o okolicy, do której jedziemy – poprosiła. - Cały czas mówiłeś tylko o wykopaliskach, a nic o regionie, w którym będziemy mieszkać.
 - Okolica jest podobno piękna, ale sam dokładnie nie wiem – odpowiedział. - Mam nadzieję, że nie będziesz zawiedziona.
 - Ja też – powiedziała cicho.

Posilali się w milczeniu. Jedzenie było dobre, ale nie wyróżniało się niczym

specjalnym. Po chwili odpoczynku znowu siedzieli w samochodzie.

- Dobrze, że już niedługo będziemy na miejscu, bo choć lubię prowadzić, to już pomalu czuję się zmęczony.
- Jeśli chcesz to ja mogę prowadzić – zaproponowała.
- Nie jest tak źle, jeszcze trochę wytrzymam.

Jechali nie za szybko i Emi mogła trochę się rozejrzeć. Pogoda była piękna, zupełnie inna od tej, którą zostawili w Londynie. Pejzaż wokół mienił się kolorami. Zielone wzgórza gdzieś przecinały drogi i skupiska domów, czasami mogła dostrzec wieże kościołów. Drzewa i domy uroczo wyglądały w słońcu i Emi poczuła, że pogoda i krajobraz działają na nią kojąco. Zjechali już z autostrady i wszystkiemu mogła przyjrzeć się bliżej. Okolica, w którą wjechali była przepiękna. Nagle ogarnął ją dziwny niepokój. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, ale czuła coraz większe napięcie. Serce przyspieszyło rytm a oddech zaczął się rwać.

- Co ci jest? Źle się czujesz? - zaniepokoił się Matt. - Może się zatrzymam?
- Nie, jedź proszę, chcę szybko być na miejscu – głos miała chrapliwy i Matt przestraszył się nie na żarty.
- To z gorąca – skłamała – napiję się szybko wody i będzie dobrze. Ale wiedziała, że to nieprawda i nim dojechali na miejsce, jakimś siódmym zmysłem wyczuła, że teraz zmieni się całe jej życie.

Monvirage, pół godziny później...

- Oto nasze lokum, czyż nie jest wspaniałe? - Matt był przekonany, że będzie tak samo zachwycony jak on. Ale Emi stała z dziwną miną, więc Matt nieco się zniecierpliwił.

- Nie podoba ci się? - wyczuła w jego głosie nutkę zawodu.
- Ależ skąd! - zaprzeczyła – nawet sobie nie wyobrażałam takiej rezydencji.
- No, może to nie rezydencja, ale mały zameczek, który na pewno ma duszę. Fajny nie?
- Owszem, romantyczny kicz – rzuciła bezlitośnie.
- A ja zawsze myślałem, że to kobiety mają skłonność do romantyzmu – Matt wcale nie przejął się krytyką – ty jednak twardo stąpasz po ziemi. Chodź, obejrzymy sobie nasz zamek.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Emi wzdragała się, choć czuła, że coś ją ciągnie do tego miejsca, ale nie wiedzieć czemu nie chciała się do tego przyznać. Targały nią dziwne emocje. Miała wrażenie, że doznaje déjà vu. Pomieszczenia urządzone w stylu epoki były przytulne, choć nieco mroczne. Emi zawsze lubiła słońce i jasność, preferowała biel i jasne pastele. Ich londyńskie mieszkanie miało duże okna, przez które już od rana wpadało słońce. Ściany miały odcień jasnego beżu, na tle którego elegancko prezentowały się białe, nowoczesne meble. Tu wszystko wyglądało inaczej. Okna były niewielkie, grube mury obito wzorzystymi

tkaninami z przewagą winnej czerwieni lub zieleni ze złotymi ornamentami. Na ścianach wisiały w złotych ramach stare obrazy. Miła gospodyni, Madame Furnier, przyglądając się nowym lokatorom, zaprowadziła ich do sypialni.

- Witamy w Chateau Monvirage. Oto Państwa pokój. Dalej jest korytarz i salon. Góra i prawe skrzydło nie są używane, ale jeśli Państwo sobie życzą obejrzeć, to tu jest drugi klucz – wręczyła Mattowi pęk kluczy objaśniając, który do czego służy.
 - Pan profesor zaprosił Państwa dziś wieczór na kolację, więc, gdy tylko Państwo się rozlokują proszę zadzwonić do profesora, bo chce po Państwa przyjechać.
 - Już rozmawiałem z profesorem, zaraz tu będzie. Merci beaucoup Madame Furnier – Matt jak zawsze umiał się znaleźć.
- Gdy gospodyni odeszła obejrzeli swój pokój. Był przestronny, choć jak pozostałe pomieszczenia niewiele wpuszczał światła. Po prawej stronie stała wielka dębowa szafa, zaś centralne miejsce zajmowało wielkie łóżko z baldachimem.
- Zaiste królewskie posłanie dla mojej królowej – Matt okręcił żoną dookoła i oboje upadli na łóżko.
 - Rzeczywiście piękne – Emi była pod wrażeniem.
 - Może od razu wypróbujemy? – rzucił Matt z szelmowskim błyskiem w oku.
 - Nie wygłupiaj się, profesor czeka – zmiętygowała go.

Podnieśli się postanawiając poszukać łazienki. Odkryli ją naprzeciwko pokoju, po drugiej stronie korytarza. Szybko odświeżyli się i przebrali, po czym pospieszyli do salonu, gdzie czekał już na nich profesor. Był to miły starszy mężczyzna o szpakowatych, nieco przerzedzonych włosach. Ruchy miał sprężyste, ale nie pozbawione elegancji. Po wzajemnej prezentacji i paru zdawkowych ogólnikach wyszli na zewnątrz.

- Jak się Państwu podoba Chateau de Monvirage?
- Emi zamrugała ze zdziwienia. Nagle nie wiadomo dlaczego oblała ją fala gorąca.
- Jak nazywa się ten zamek? – spytała.
 - Chateau de Monvirage – powtórzył Matt - Ma niezwykle historię. Profesor na pewno nam coś o nim opowie.
 - Bardzo chętnie, ale teraz zapraszam Państwa na kolację do gospody we Flouré.

Wsiedli do samochodu i ruszyli przez malowniczą okolicę. Gospoda była zwyczajna. W kącie miejscowi rozprawiali głośno przy winie, ale Emi nic oczywiście nie rozumiała. Oni dostali stół w innej części sali i kelner zaraz zaczął ustawiać półmiski.

- Pozwoliłem sobie już wszystko zamówić – rzekł profesor – to różne smakołyki z naszego regionu. Mam nadzieję, że je państwo polubią.

Na stole pojawiły się muszle gotowane w białym winie, łosoś w różowym sosie, sałatka z tuńczykiem, suszona szynka, pieczeń wieprzowa w ziołach prowansalskich, bagietka, białe i czerwone wino.

- Za spotkanie i dobrą współpracę – profesor wzniosł kieliszek z białym winem.
- Za spotkanie i dobrą współpracę – powtórzył jak echo Matt.